

PRAWO NA BIAŁORUSI NIE MA ŻADNEGO ZNACZENIA

Wiktar Parchimczyk

Po około 15 minutach bicia zrozumiałem, że to może się bardzo źle skończyć. Bardzo źle. Może nawet śmiertelnie. Udawałem, że straciłem przytomność. Wyszło mi to dobrze. Mimo to nie przerywali.

Wiktar Parchimczyk (rocznik 1982)

Białoruski informatyk, uczestnik protestów po wyborach w 2020 roku. W listopadzie 2020 roku został aresztowany i oskarżony o wykręcanie śrub z samochodów należących do funkcjonariuszy białoruskich służb. Skazany z artykułu 339 część 1 Kodeksu karnego na dwa lata pozbawienia wolności, część kary odbył w otwartym obozie pracy. Z więzienia wypuszczony we wrześniu 2022 roku.

Zatrzymali cię w czasie protestów 2020 roku? Jak to się stało, że wziąłeś w nich udział?

Ta historia zaczęła się jeszcze w mojej młodości. Dorastałem w rodzinie, którą można by chyba nazwać inteligentką. Rodzice nie byli obojętni wobec wielu rzeczy, które działy się w naszym kraju. Mój ojciec był doktorem nauk prawnych, a mama adwokatką. Kiedy miałem 16 albo 17 lat, zacząłem już wykazywać aktywność w różnych ruchach politycznych. Uczestniczyłem w marszach czarnobylskich, w protestach jeszcze pod koniec lat 90. To był okres młodości, a potem po prostu się uspokoilem, bo pojawiła się już rodzina, własny biznes. Poza tym zrozumiałem, że większość Białorusinów nie chce zmian. I dlatego można to nazwać swego rodzaju kontraktem między mną a władzą. Ja siedzę cicho, ale nie jestem gotów ryzykować za tych ludzi, których wszystko urządza, są obojętni. Mnie oczywiście to nie urządzało, ale nie było sensu poświęcać się dla pasywnej większości.

Aż przyszedł rok 2020...

Tak, potem nadszedł rok 2020, który zmienił moje postrzeganie. Czekałem na to okno możliwości. W 2020 roku też nie od razu się zaangażowałem, bo początkowo nie wierzyłem w Białorusinów. Potem zobaczyłem, że setki tysięcy ludzi wychodzą na ulice i że przestali być obojętni. I wtedy pomyślałem, że trzeba coś robić. I że można już zaryzykować sobą. Bo Białoruś to taki naród, który jest wart tego ryzyka. Historia pokazuje, że było wiele

przypadków, kiedy ludzie wychodzili na protesty. Potem ich rozstrzelano, zabijano i tak dalej. Co więcej, podczas powstania Kalinowskiego¹ sami chłopcy wydawali powstańców carskim władzom. Tego się oczywiście bałem. Nie chciałem stać się bezsensowną ofiarą, bo jednak priorytetem jest rodzina, dzieci, które muszą wychować. Były jednak takie wydarzenia, które mną wstrząsnęły i zmusiły do zaangażowania się w protesty.

Co się wydarzyło?

Miałem przyjaciela, z którym chodziłem na siłownię niedaleko domu, i pewnego dnia, w 2020 roku, dowiedziałem się, że jego syna, siedemnastolatka, złapała milicja. Zgwałcili go gumową pałką. Wiesz, gdy czytasz w mediach czy w internecie takie rzeczy, to one są wstrząsające, ale gdzieś tam anonimowe, odległe. Jak to się zdarza w kręgu bliskich ludzi, to zupełnie co innego. To porusza. To było jedno takie zdarzenie, które mnie zmotywowało.

A drugie?

Stałem sobie na ulicy koło swojego bloku w Mińsku. Obok mnie przeszło kilku moich kolegów jeszcze z czasów szkolnych. Pytam się ich: „Dokąd idziecie?”. Oni mówią: „Na Plac². Nie będziemy siedzieć w domu, bo biją kobiety, dzieci i studentów”. Pomyślałem, że jeśli biją młodych ludzi, to ja muszę stanąć w ich obronie. Na dzielnicę mieliśmy taki swój kodeks honorowy. Kodeks zasad i zachowania wyniesiony jeszcze z lat 90. Jeśli kogoś z naszego rejonu ruszają, to się go broni. A teraz to byli już dorośli mężczyźni i ja też byłem już dorosłym mężczyzną.

POMYŚLAŁEM, ŻE JEŚLI BIJA MŁODYCH LUDZI, TO JA MUSZĘ STANĄĆ W ICH OBRONIE. ABY MOJE DZIECI NIE MÓWIŁY, ŻE TATA SIEDZIAŁ NA KANAPIE W CZASIE, GDY BYŁO OKNO MOŻLIWOŚCI.

Wróciłem do domu. Zastanowiłem się po raz drugi i trzeci. I wtedy pomyślałem: czy mam prawo przekazać swoim dzieciom takie dziedzictwo? Czy nie będą mi potem mówić, że tata siedział na kanapie w czasie, gdy było okno możliwości. I że tata przekazał im dyktaturę, w której będą

- ¹ Powstanie Kalinowskiego – antyrosyjskie walki na Litwie i Białorusi, będące – wedle polskiej historiografii – częścią niepodległościowego powstania styczniowego w latach 1863–1864.
- ² Plac Październikowy w centrum Mińska.

musieli żyć. Wszystko to uzmysłowiło mi, że nie mogę już siedzieć w domu i tylko obserwować, co się dzieje. To policyjne bezprawie. Ten cały syf.

Jak się zaangażowałaś?

Zacząłem wychodzić na Plac. Na manifestacje. Byłem bardzo ostrożny. Nosiłem wtedy maskę. Ciemne okulary, czapkę. Żeby mnie nie zidentyfikował milicyjny system. Mieli wszędzie kamery i system identyfikacji twarzy. Szybko biegałem i byłem w dobrej kondycji fizycznej. Być może to mnie nieraz uratowało, bo nie złapano mnie wtedy za protesty.

Za co więc zostałeś aresztowany?

Obok tej siłowni i mojego magazynu miałem mały biznes. Wynajmowałem miejsce pod składowanie materiałów budowlanych. Tam znajdowała się moja tzw. baza. Na pobliskim podwórze stały samochody. Wszyscy w okolicy znali te auta. To były pick-upy z kratami. Z tych pick-upów prowadzono ostrzał ludzi podczas masowych zgromadzeń. Zostawiali je tam na noc. Zawsze, kiedy jechałem na to swoje składowisko, w tym wąskim miejscu, gdzie te samochody wyjeżdżały, wykręcałem im śruby z kół, żeby utrudnić im poruszanie się po mieście. Przez długi czas nie mogli mnie zidentyfikować. Byłem ostrożny. Potem zmienili kamerę. Wcześniej była zwykła, ale zamontowali taką z noktowizją i wysoką rozdzielczością.

I tak cię nakryli?

Tak. Z pomocą tej kamery mnie zidentyfikowali. Pewnego dnia na ulicy podbiegło pięciu. Powalili mnie na ziemię. Wciągnęli do busa. Położyli mnie twarzą do siedzenia. Jeden z nich usiadł mi na ramionach, przygniatał mnie. I zaczęli metodycznie zadawać ciosy. W tył głowy i w nerki. Gumową pałką i pięściami. Jeździliśmy tak około 15 minut. I w tym czasie mnie cały czas lali. To była standardowa praktyka. Do najstraszniejszych pobić dochodziło właśnie w tych busach, w czasie transportu. Bali się kamer, a tam nikt by ich nie nagrał. Po około 15 minutach bicia zrozumiałem, że to może się bardzo źle skończyć. Bardzo źle, nawet śmiertelnie. Udawałem, że straciłem przytomność. Wyszło mi to dobrze. Mimo to nie przerywali. Zawieźli mnie do jakiegoś felczera. Do swojego lekarza. Tam „ożyłem”. Tam już się ocknąłem. Oni nie bez powodu bili w tył głowy i w nerki. Byli nauczeni, jak to robić. Bo to zostawia mniej śladów. Mimo



wszystko rozcięli mi głowę i było bardzo dużo krwi. Wszystko to zmywali ze mnie i z siebie przed wejściem do komisariatu policji. Wszystko zmywali. Ustaliłem potem, że na tym komisariacie byli ludzie z tej samej jednostki, która mnie zatrzymywała. Oni też tam stacjonowali.

Kto to był?

To był OSAM³. To jest taki łukaszenkowski specnaz. Ponoć elitarny. Co ciekawe, jest w strukturach Komitetu Pogranicznego, czyli białoruskiej straży granicznej. To ci sami ludzie, którzy zajmują się teraz prowokacjami na granicy z Polską oraz Litwą i wypychają migrantów przez granicę. To właśnie oni zabierali migrantów z portu lotniczego Mińsk-2 swoimi mikrobusami i wywozili ich na granicę. I to oni brali w 2020 roku udział w rozpędzaniu protestów. Choć formalnie podlegają strukturze straży granicznej i z racji swoich obowiązków nie powinni ani rozpędzać protestów, ani przewozić migrantów.

3 Oddzielna Służba Aktywnych Działań – jedna ze specjalnych jednostek białoruskich służb specjalnych.

Co stało się później?

Po tym wszystkim trafiłem na trzy miesiące w tryby systemu represji. Najpierw przesłuchiwali mnie w komisariacie milicji ludzie, którzy, jak sądzę, byli z KGB. Przede wszystkim chcieli się dowiedzieć, z kim współpracowałem. Ich głównym celem było rozplątanie całej pajęczyny tych protestów. Oni wtedy myśleli, i rzeczywiście mogli myśleć, jeśli nie kłamali, że ktoś z zewnątrz mnie finansuje. Jacys „mocodawcy”: Polacy, Amerykanie albo ktoś jeszcze.

Chodziło im o nakreślenie wizji spisku i znalezienie jakichkolwiek dowodów na większy układ inspirowany zza granicy?

Dokładnie tak. Tymczasem dla mnie to, że sam chodziłem na protesty i sam podejmowałem działania, było moją świadomą decyzją. W takim przypadku nie mogę nikogo zdradzić. Niestety słyszałem już o ich metodach. Od przyciskania palców drzwiami, aż po specjalny zastrzyk farmaceutyczny, po którym ludzie opowiadają wszystko. Przykładowo tak „rozpracowywali” aktywistów z dzielnicy Sucharawa w Mińsku. Była bardzo aktywna i protestująca. Aktywistów stamtąd po prostu łamali, zmuszali do opowiadania o wielkim spisku. Funkcjonariusze KGB torturowali w bardziej „inteligencki” sposób. Potrafili zrobić zastrzyk z chemicznym preparatem. Jednak częściej namawiali na przykład kolegów do wzajemnej dekonspiracji szantażem i kłamstwami.

W moim wypadku nie mieli innej osoby, by mnie szantażować. Nie dało się mnie rozdzielić po różnych pokojach i zacząć tej procedury. Choć oczywiście w czasie protestów nocowałem u swojego przyjaciela, z którym współpracowaliśmy. Razem z nim i paroma innymi znajomymi pomagaliśmy w organizacji protestów. On dostarczał krótkofalówki, wskaźniki laserowe i tak dalej. To była sieć, oczywiście. Ale ja o tym nie powiedziałem. Brałem wszystko na siebie. Wobec mnie funkcjonariusze mieli łatwiej. Przez dwa tygodnie prowadzili monitoring wideo i mieli mnie na nagraniach. Potem na rozprawie sądowej to wszystko pokazywali. Jeździli za moim samochodem, obserwowali mnie. Widzieli też momenty, gdy przekazywano mi jakieś paczki. W tych paczkach były krótkofalówki i wskaźniki laserowe. Zapytali mnie, co to jest. Powiedziałem, że to była słonina. I na tym się skończyło. Do tego czasu mój przyjaciel już wyjechał z kraju. Zrozumiał, że coś jest nie tak, że nie ma ze mną kontaktu. Wsiadł do samochodu i pojechał na Ukrainę.

Gdzie cię przetrzymywali w tym czasie?

Zanim trafiłem na Akreścina, przez trzy doby przetrzymywano mnie w komisariacie. Przez ten czas nie dawali mi jeść ani nie wyprowadzali do toalety. To są dokładnie te trzy dni, kiedy oni decydują, co z tobą zrobić. Właśnie tam wymuszają pierwsze zeznania, które potem mogą zostać użyte. Byłem w złym stanie. Pobity, miałem krwiaki, ledwo się poruszałem. Nerki jednak ucierpiały. W takim stanie spędziłem trzy doby w małym, kamiennym pomieszczeniu z wąską ławką, takiej wielkości, że nie dało się na niej położyć.

PO OKOŁO 15 MINUTACH BICIA ZROZUMIAŁEM, ŻE TO MOŻE SIĘ BARDZO
ŹLE SKOŃCZYĆ. BARDZO ŹLE, NAWET ŚMIERTELNIE. UDAWAŁEM,
ŻE STRACIŁEM PRZYTOIMNOŚĆ. WYSZŁO MI TO DOBRZE.
MIMO TO NIE PRZERYWALI.

Po raz pierwszy nakarmili mnie dopiero w areszcie śledczym na Akreścina. Tam też obejrzał mnie felczer. Głośno się śmiał. Był wesoły. Pytał, czy mam jakieś dolegliwości zdrowotne. Powiedziałem mu, że z trudem się poruszam, że mam krwiaki. Na co on, śmiejąc się, odpowiedział coś w rodzaju: „To za to, że nie kochasz milicji”. I tyle. Bawiła go ta sytuacja. Potem zaprowadzili mnie do celi. W celi był tak zwany „utka”. Na Białorusi nazywa się tak ludzi z półświatka, których osadza się specjalnie po to, żeby donosili, żeby wyciągali informacje. Zobaczyłem to później w aktach sprawy. Okazało się, że faktycznie tak zrobili. Po dwóch tygodniach w areszcie przewieziono mnie już więźniarką do aresztu śledczego w Żodzinie. Tam też był felczer. Ślady pobicia jeszcze nie zeszły, ale medyk również nic z tym nie zrobił. Choć wiem, że czasem zdarzały się sytuacje, że personel oburzał się na stan przywożonych więźniów. Jechał ze mną chłopak, któremu uszkodzili szyję. Nie mógł ruszać głową. Bardzo się wtedy kłócili: „Czemu wy nam takich przywozicie? Kompletnie połamanych”. W Żodzinie warunki były spartańskie. Była tylko zimna woda. Nie było w ogóle światła dziennego. Zawsze było zimno, bo wszyscy palili, więc trzeba było siedzieć z otwartym okienkiem.

Ile osób było w celi?

Zazwyczaj osiem. Czasem więcej, bo dwanaście. Cella bywała przepelniona. Brakowało miejsc do spania. Robiliśmy więc coś w rodzaju hamaka

z prześcieradeł. Przywiązywaliśmy je do prycz, żeby ktoś mógł się położyć. Były tam karaluchy. Były szczury. Największe przerażenie wzbudzała jednak tzw. press chata.

Co to takiego?

Milicjanci osadzali w specjalnej celi kogoś ze świata przestępczego, takiego „podkarmionego” byczka. Otrzymywał drobne przywileje, na przykład mógł mieć nawet telefon, telewizor. W zamian jego zadaniem było kato-
wanie konkretnego człowieka, którego specjalnie przeniesiono do tej celi. To były tortury wobec politycznych, tylko że nie rękoma milicjantów, lecz kryminalistów. Czasami z tej „press chaty” wnoszono ludzi na kocach, bo mieli przetrącone kręgosłupy. Pewnego razu dotarła do mnie informacja, że przyjadą kręcić ze mną film.

Film?

Nie chciałem brać udziału w żadnym „filmie”. Bo już słyszałem, o co chodzi. Rozebrałem wtedy maszynki do golenia. Ostrze z żyłki schowałem pod podeszwę buta. Byłem gotów coś sobie zrobić, bo za odmowę udziału w nagraniu mogli mnie wrzucić do „press chaty”. A tam mogli zrobić jeszcze gorsze rzeczy, zgodnie z więziennymi, kryminalnymi rytuałami. Powszechnie wiadomo było, że tam nie tylko biją, lecz także gwałcą. W ten sposób „poniżają” człowieka do najniższej więziennej kasty „pietuchów”⁴. Z „pietuchami” można zrobić wszystko. Nie chciałem tego. Łatwiej było mi pożegnać się z życiem. Zaprowadzili mnie do gabinetu naczelnika. Przede mną stała kamera. Był tam funkcjonariusz OSAM-u i jeszcze jeden człowiek. Po jego manierach zorientowałem się, kim on jest.

Po manierach?

Tak. Po manierach. Był grzeczny, nawet miły. Jakiś taki „inteligentki” na swój sposób. Był z KGB.

KGB jest bardziej inteligentkie?

O tak. OMON, OSAM biją od razu. To zwykłe, bezmyślne osiłki. Potrafią tylko bić i w zasadzie nic więcej. KGB stosuje bardziej wyrafinowane metody: presję psychologiczną. I oni są z tego nawet trochę dumni. Uważają,

⁴ W polskich więzieniach grupa ta określana jest mianem „cweli”.

że pracują subtelniej. Zacząłem po prostu „grać głupiego”. Rozmawiałem na zupełnie różne tematy, odpowiadałem nie na temat. Po prostu zamęczyłem ich. Byli wściekli. Naprawdę byli wściekli.

A oni chcieli, żebyś co powiedział?

Żebym opowiedział, jak to wszystko było. Że ktoś mnie wciągnął w działania przeciw władzy, że zbłądziłem. Żebym się „pokajał” i tak dalej. Mówili: „Porozmawiamy z prokuratorem. Wyjdziecie wcześniej”. Ale ja im nie wierzyłem. Bo jakie były powody, żeby im wierzyć? Dlaczego on miałby dotrzymać słowa? Teoretycznie mógłbym się na to zgodzić. Miałem dzieci. W gruncie rzeczy dla nich mógłbym to zrobić. Potem wyjechać do bezpiecznego kraju i powiedzieć, że to nie miało żadnego znaczenia. Tylko że miałem swoje zasady. Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Odprowadzili mnie z powrotem do celi. Filmu nie nagrali.

Mówisz, że skończyło się dobrze. No nie wiem... Jednak wyrok dostałeś.

Mogło być gorzej. Moja mama pracowała w tym samym sądzie, w którym mnie sądzono. Znała osobiście prokuratora, który sporządzał akt oskarżenia. Znała sędziego. Znała wszystkich. Co więcej, była moim adwokatem. Prawo tego nie zabrania. Dzięki temu mogła przyjeżdżać do aresztu śledczego i widzieć, w jakim jestem stanie. Być może właśnie dlatego już mnie tam nie bili. Bo mimo wszystko obecność adwokata wywierała nacisk. W tamtym czasie nie mogli jeszcze tak po prostu „wysłać adwokata na trzy litery”⁵. Później już mogli, ale wtedy jeszcze nie.

*ZANIM TRAFIŁEM NA AKRĘŚCINA, PRZEZ TRZY DOBY
PRZETRZYMYWANO MNIE W KOMISARIACIE. BYŁEM W ZŁYM STANIE.
POBITY, MIAŁEM KRWIAKI, LEDWO SIĘ PORUSZAŁEM.
NERKI JEDNAK UCIERPIAŁY.*

Odbył się proces. Przewieziono mnie na Waładarskiego – to areszt numer jeden w Mińsku. Były trzy rozprawy sądowe. Ich finał to była jedna wielka parodia sądownictwa: togi, ceremoniał i cała ta otoczka, która miała tworzyć pozory legalności ich decyzji. „My jesteśmy władzą” i tak dalej. Sędzia wydał wyrok: dwa lata ograniczenia wolności ze skierowaniem

5 Na trzy litery, ros. „na tri bukwy” – czyli „na chuj”, od ros. хуй.

do zakładu poprawczego typu otwartego. Mówiąc prostym, naszym językiem: „chemia”.

Czyli?

To jest coś w rodzaju obozu pracy. Ludzie mieszkają w baraku. I pracują tam, gdzie państwo akurat ich potrzebuje. W moim przypadku był to kołchoz, mleczarnia i farma, hodowla krów.

Gdzie to było?

Bardzo blisko granicy z Polską. Rejon kamieniecki. Widziałem granicę z Polską. Barak, w którym mieszkaliśmy, to była dawna, przedwojenna polska szkoła. Taka kara to w ogóle bardzo opłacalny model dla łukaszenkowskiego reżimu, bo w ten sposób realizują dwa cele jednocześnie. Pierwszy: izolują człowieka i go karzą. Drugi: sądy pełnią funkcję czegoś w rodzaju niewolniczego działu HR. Kierują „niewolników” do regionów, gdzie sytuacja demograficzna jest tak fatalna, że nie da się znaleźć żadnych pracowników. Nawet alkoholików. Po prostu nikogo. Tak właśnie było w rejonie kamienieckim. Tam nie ma kto pracować. Młodzież i ludzie

© Wiktar Parchimczyk



w sile wieku wyjechali, choćby do Polski. W ten sposób człowiek jest ukarany, a jednocześnie można z niego wycisnąć ostatnie siły życiowe, wysyłając go do pracy. Zwykle w tych zakładach panują szkodliwe warunki, dlatego to się nazywa „chemia”. W moim przypadku szkodliwość pracy w oborze polegała na stałych oparach amoniaku. I dlatego była ona klasyfikowana jako praca w warunkach szkodliwych.

Jak wyglądała twoja praca?

Udało mi się stamtąd wynieść grafiki pracy, tabelki robocze. Opublikowałem je. W tych tabelach było widać, że dzień pracy zaczynał się o 4.30 rano, a kończył o 22.00, czasem nawet o 23.00. Sześć dni w tygodniu zazwyczaj. Czasem siedem. Czyli praktycznie bez żadnych dni wolnych. Miałem pracować przy krowach w kołchozie mleczarskim. Celem było produkowanie maksymalnie tanich produktów, które można było wystawiać na półkach sklepowych albo nawet wysyłać na eksport. W moim przypadku głównym beneficjentem była firma Sawuszkina Pradukt.

Czyli prywatna firma zarabiała na pracy skazańców?

Dokładnie tak było. Ta firma należy do jednego z oligarchów bliskich władzy – Alaksandra Maszenskigo⁶. Korzystał na pracy niewolniczej i na wolnej strefie ekonomicznej w Brześciu, przez którą wysyłał swoje produkty do Polski i Europy. Takich obozów pracy i firm powiązanych z Maszenskim było sporo: w Gródku, w Berezie i innych miejscach.

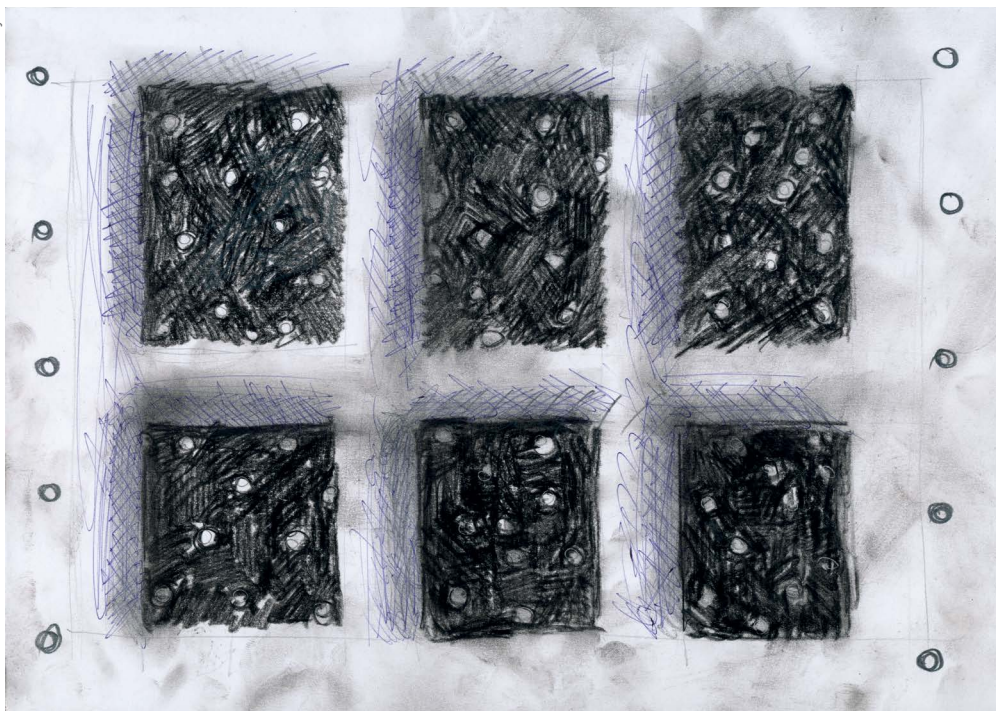
Dostawałeś jakieś pieniądze za pracę?

Pracowałem za minimalne wynagrodzenie. Formalnie wypłacali mi je przelewem na konto. Z tych pieniędzy trzeba było jednak opłacić zakwaterowanie. Bo mieszkanie w tym baraku było płatne. Opłaty komunalne i tak dalej. W praktyce nie zostawało nic. W zasadzie to nie była praca, tylko niewolnictwo.

Jednak to miejsce różniło się od więzienia czy kolonii karnej?

Oczywiście. Choć nadzór był. Na terenie tego obiektu stale dyżurowała zmiana funkcjonariuszy. Kontrolowali wszystko. Przeszukanie rano,

⁶ Alaksandr Maszenski – przedsiębiorca zwany „portfelem Łukaszenki”. Jego główne biznesy to przetwórstwo ryb oraz mleczarstwo. Jego majątek ocenia się na około miliard dolarów.



przeszukanie wieczorem. Przyjeżdżali też na fermę, żeby sprawdzać i kontrolować. Było ich tam zresztą bardzo wielu. Jeden milicjant na dwóch pracujących. Ten system jest drogi i niewydajny, ale działa. Normalnie za tak niegodziwe pieniądze nikt nie chciałby takiej pracy. A tu opresyjny system ciągle dostarcza darmowych pracowników. Około jednej trzeciej skazanych na te roboty to byli polityczni. Chodziliśmy z żółtymi naszywkami. W odróżnieniu od kolonii karnej nosiliśmy jednak zwykłe ubrania, nie więzienne. Żółta naszywka wisiała na szafce albo na łóżku. I co godzinę trzeba było podchodzić do funkcjonariusza i meldować: „Ja, taki a taki”, podać nazwisko, i dodać: „skłonny do działalności destrukcyjnej i ekstremistycznej”. To są jeszcze praktyki z czasów stalinowskich. Już wtedy ludzi tym dręczono. Chodziło o to, żeby co godzinę upokorzyć człowieka. Był cały system kar za różne „przewinienia”.

Proszę opowiedzieć o tych karach.

Po pierwsze: kiedy trafiałeś tam z żółtą naszywką, miałeś zakaz samodzielnego wyjścia do sklepu. W ogóle miałeś zakaz przemieszczania się gdziekolwiek w swoich sprawach. Mogłeś przebywać tylko w baraku i w miejscu

pracy. Kryminaliści, skazani za narkotyki czy inne przestępstwa, mogli wychodzić do miasta, do sklepów. My nie mogliśmy. Ograniczono też wizyty bliskich. Nie dawali żadnych nagród, żadnych pochwał. A pochwała to była jedyna droga do wcześniejszego zwolnienia. Nie było nawet cienia szansy, żeby to zmienić. Wystawiali wyłącznie naruszenia regulaminu. Jeśli ktoś dostał trzy naruszenia, uznawano go za „złośliwego naruszydca”. Czwarte naruszenie oznaczało zamianę „chemii”, obozu pracy na kolonię karną.

Jak to wyglądało w twoim przypadku?

W czasie pobytu w obozie pracy trzy razy trafiałem na 15 dni aresztu. Ponieważ to była dawna polska szkoła, nie było tam typowej celi, w której można by przetrzymywać ludzi. Trafialiśmy więc do rejonowego wydziału milicji. Tu muszę się zastanowić, czy w ogóle warto to mówić publicznie...

Dlaczego?

No cóż, bo tam było... normalnie w porównaniu z całym znanym mi systemem opresji. Tam i tylko tam milicjanci nie byli bestiami. Przynosili nam paczki, słodycze. Czuliśmy się lepiej w tym areszcie niż w samym, nibyotwartym obozie pracy. Nie byliśmy tam pod presją.

Czemu tak tam było?

Nie potrafię dziś na to pytanie odpowiedzieć. Nie wiem, dlaczego akurat w tym rejonowym wydziale. Może bliskość granicy z Polską, ale przecież Grodno, równie bliskie granicy, jest okropnym miejscem. Może wszystko zależy od naczelnika.

Od człowieka?

Tak. Od naczelnika. Czynniki ludzki, nic więcej. We wszystkich represyjnych systemach czasem zdarzały się takie wyjątki. W moim przypadku kilka razy trafiłem na normalnych ludzi, ale to były wyjątki.

*ODBYŁ SIĘ PROCES. JEDNA WIELKA PARODIA SĄDOWNICTWA:
TOGI, CEREMONIAŁ I CAŁA TA OTOCZKA, KTÓRA MIAŁA TWORZYĆ
POZORY LEGALNOŚCI I CH DECYZJI.*

Pierwszego dnia pracy... właściwie słowo „zatrudnili” jest złe. Bo człowieka zatrudnia się dobrowolnie. W moim przypadku mnie po prostu

skierowano. Przydzielono mnie na stanowisko zootechnika piątej kategorii. Nie przeczytałem na początku zakresu obowiązków służbowych. Uznałem, że to bez sensu. Przecież nie możesz powiedzieć: „to mi nie pasuje, przepraszam, nie biorę tej pracy”. Jednak już pierwszego dnia wystawili mi naruszenie – za „naruszenie technologii karmienia krów mlecznych”.

Miałeś jakiegokolwiek pojęcie o krowach?

Dla jasności: jestem informatykiem. Całe życie zajmowałem się tworzeniem stron internetowych. Krowy widziałem czasem gdzieś na wsi, z daleka. I nagle słyszę, że źle karmię krowy. Mówię im: „Jakie naruszenie technologii? Ja tej technologii nie znam. Pokażcie mi moje obowiązki służbowe”. Nie chcieli, ale jakoś udało mi się je zdobyć przez inną osobę. Czytam, co tam jest napisane: przyjmowanie porodów u krów, rozpoznawanie, kiedy krowa ma ruję, prowadzenie specjalnych dzienników krowich, obcinanie racic i tak dalej, i tak dalej.

Przecież to zadania dla weterynarza, zootechnologa...

Tak, dokładnie. I nawet zgodnie z białoruskim prawem pracy nie mogli mnie bez kwalifikacji zatrudnić na takim stanowisku. Poza tym nie wolno pracować ponad 40 godzin tygodniowo. To już bez znaczenia, tam prawo przestało działać. W końcu powiedziałem im: jeśli zdecydowaliście się zmusić mnie do pracy niewolniczej jako zootechnika, to będę pracował tak, jak potrafię, i albo mnie nauczycie, albo zróbcie coś innego. Z czasem stało się to wręcz komiczne. Szef tej firmy naprawdę chciał, żebym był zootechnikiem i pracował, jak należy. Tylko że ze mnie kiepski niewolnik. Naprawdę kiepski. Był taki przewodniczący tego kołchozu, Ukrainiec. Uciekł z kraju ścigany za długi i dostał białoruskie obywatelstwo. Ten Ukrainiec był najgorszy. Zmuszał ludzi do pracy ponad siły i łatwo mu przychodziło wypisywanie kar. To przez niego dostałem pierwszą karę. Potem przyszły kolejne, w tym za rzekomą nieobecność na miejscu pracy. Co było nieprawdą. Dlatego odwołałem się, przy pomocy matki, która jak mówiłem jest adwokatką, do związków zawodowych.

Na Białorusi są związki zawodowe?

Oczywiście. Formalnie istnieją. Byli w szoku, kiedy milicja mnie przywołała na posiedzenie komisji związkowej. Oficjalnie podlegałem przecież pod

kodeks pracy. Zaskarżyłem do związków, że zmuszają mnie do pracy, do której nie mam kwalifikacji. Ku mojemu zdziwieniu związki anulowały kary i przyznały mi rację. Małe zwycięstwo nad systemem! Już wtedy zrozumieli, że nie jestem łatwym skazańcem. Wiedziałem też, że nie będę miał łatwo z nimi. To, że się zemszczą, było kwestią czasu. W ten sposób nie miałem pracy przy krowach. Na jakiś czas skierowali mnie do pracy przy świniami. Miałem przerzucać gnój. Jednak to była tylko praca na zastępstwo, tymczasowa. Skończyła się i dalej nie wiedzieli, co ze mną zrobić.

W obozie pracy nie można być chyba bezrobotnym?

Niby nie można. Siedziałem w baraku. Tam, co istotne, dozwolony był telefon. W tym czasie zacząłem handlować kryptowalutami. Poza tym mój biznes „na wolności” cały czas działał. Ten chlew, ta praca przy świniami, tak naprawdę w ogóle nie były mi potrzebne. Za te pieniądze, które tam „zarabiałem”, i przy tych warunkach znacznie więcej mogłem zarobić na handlu kryptowalutą. Co więcej, nawet uczyłem sierżantów, milicjantów, tych młodszych rangą, jak to robić. Oficerom to się bardzo nie podobało. I tak sobie siedziałem, odbywałem swój „termin”. Aż pewnego dnia pod barak podjechał samochód. Nowa Toyota Camry.

Raczej niespotykane auto w tym miejscu?

W tamtym regionie nie ma nowych Toyot Camry. To od razu było dziwne. Ponieważ już wcześniej byłem pod zwiększoną obserwacją, natychmiast zrozumiałem, że to coś niedobrego. Że najpewniej ktoś przyjechał „po mnie”. Z samochodu wysiadł mężczyzna, wszedł do środka, na górę. Po chwili przychodzi do mnie milicjant i mówi: „Wzywają cię”. Przychodzę. Siedzi jakiś facet. Obok niego mój milicjant. I mówią: „Podpisuj”. Pytam: „Co podpisywać?”. „Podpisuj”. Podchodzę. Okazuje się, że mam podpisać dokument, iż zostałem zapoznany z zasadami bezpieczeństwa. No dobrze. Myślę: okej. Chodziło o nową pracę, którą mi znaleźli. Nawet przyszło mi do głowy, że może tam będzie lepiej niż w baraku. Może będę mniej pod nadzorem milicji. To było miasto Wysokie w rejonie kamienieckim, także bardzo blisko granicy z Polską. Tam znajdowała się fabryka produkująca włókno bazaltowe, izolację termiczną, którą wykorzystuje się do ocieplania domów. To również było szkodliwe środowisko pracy. Specyfika tej produkcji polegała na tym, że podczas pracy z włóknem bazaltowym

w powietrzu unoszą się mikroskopijne cząstki mineralne. One dostają się do płuc i nie da się ich stamtąd usunąć. Ludzie, którzy tam pracują, nie żyją długo. Teoretycznie dałoby się to rozwiązać, gdyby były środki ochrony. Tam jedynym „środkiem ochrony” była zwykła maseczka medyczna, którą trzeba było kupić za własne pieniądze. Tak więc zacząłem tam pracować.

To było lepsze od krów i świń?

Na początku nawet udało mi się nawiązać w miarę normalne relacje z kierownictwem. Właścicielem tej fabryki był były milicjant. To była jego prywatna firma. A do prywatnej firmy nie wolno kierować do pracy przymusowej według prawa białoruskiego, ale na Białorusi to nie ma żadnego znaczenia. W tej firmie wiecznie brakowało pracowników. Ci, którzy przychodzili, siadali w szatni, stawiali butelkę wódki, pili, a potem szli do pracy. A mówimy o pracy przy piecu, gdzie temperatura przy włóknie bazaltowym przekracza tysiąc stopni. I oni w takim stanie zaczęli pracować. Nikt nic nie mógł z tym zrobić, bo w tym mieście po prostu nie było innych ludzi. Więc przywieźli niewolnika.

Przywozili cię codziennie do tej manufaktury?

Tak, mnie i jeszcze jednego osadzonego. W pewnym momencie zorientowali się, że jestem programistą, że tworzę strony internetowe. I wtedy właściciel firmy wsadził mnie do biura, żebym zajął się jego stroną. Dla niego to było bardzo opłacalne. Mieliśmy zatem taki nieformalny układ. Ja siedzę w biurze, nie oddycham amoniakiem, nie wdycham toksycznych oparów, tylko wykonuję swoją pracę. Nie dostaję za to pieniędzy, ale przynajmniej mam normalne warunki. Mogę czasem zrobić sobie kawę i pracuję w swoim zawodzie.

WE WSZYSTKICH REPRESYJNYCH SYSTEMACH CZASEM ZDARZAŁY SIĘ WYJĄTKI. W MOIM PRZYPADKU KILKA RAZY TRAFIŁEM NA NORMALNYCH LUDZI, ALE TO BYŁY WYJĄTKI.

Wtedy niestety zaczął przychodzić milicjant. Ten sam sierżant, którego wcześniej uczyłem handlu kryptowalutami. Wkłada głowę do biura, rozgląda się i mówi: „A czemu on siedzi w biurze?”. Donosi to oficerowi. A oficer odpowiada: „Nie może tak być! Polityczni mają tylko wybierać gówno. Oni mają się męczyć i cierpieć”. Właściciel firmy wymyślił wtedy

tak: „Założę ci teraz roboczy kombinezon, trochę cię ubrudzimy, żebyś wyglądał na brudnego, a jak przyjadą, to po prostu wyjdiesz na fabrykę i będziesz coś robił”. Bo im tak naprawdę bardziej potrzebna była strona internetowa niż kolejny robotnik. Posmarował nawet ogrodzenie smarem, żeby nie mogli się przez nie wspinać i patrzeć przez okno. I kiedy przyjeżdżał milicjant, ja, cały brudny, wychodziłem i robiłem coś na pokaz. To był naprawdę „złoty czas” na tej fabryce.

Nie wytrwałś tam jednak do końca wyroku?

Niestety. Trwało to mniej więcej miesiąc. Potem przestał kursować kołchozowy autobus, który jeździł do Kamieńca i mnie woził. Jedyny pracownik, który tam dojeżdżał oprócz mnie, wpadł w ciąg alkoholowy i zniknął. W związku z tym uznano, że nie ma sensu uruchamiać transportu. Ponieważ ja już nie pracowałem formalnie w kołchozie, to specjalnie dla mnie nikt nie zamierzał wysyłać autobusu. Pytam milicjanta: co mam zrobić? To było 25 kilometrów w jedną stronę, od miejsca pracy do baraku. On odpowiada: „Nie wiem. Rób, co chcesz”. Tam nie było żadnej komunikacji, żadnych autobusów, niczego. To była wymarła wioska. Dawna polska wieś, a wokół tylko pola i lasy. Zero transportu. Pomyślałem: dobra, spróbujmy. Byli tam lokalni mieszkańcy, którzy nas wspierali. Jeden z nich podwiózł mnie samochodem z pracy do baraku, ale tylko raz. Powiedziałem mu: słuchaj, nie będziesz mnie przecież woził codziennie. Masz swoje życie, swoje sprawy. Spróbuję raz dojść pieszo, zobaczymy, jak to wygląda.

Poszedłeś 25 kilometrów pieszo?

Wyszedłem o 4.15 rano i szedłem ponad sześć godzin, potem pracowałem przez osiem godzin i wracałem po zakończeniu zmiany – znowu ponad sześć godzin. Do baraku dotarłem dopiero o 22.00, tuż przed ciszą nocną. Cały ten czas szedłem przez Puszcę Białowieską. To była po prostu puszcza. Bez dróg, bez transportu, bez ludzi. Już robiło się ciemno, ale doszedłem. Widziałem dzięki zwierzęta. Widziałem łosia. Były odcinki drogi bez oświetlenia, bez pobocza. Jeździły tam ciężarówki, transporty z tartaków. I teraz proszę sobie policzyć: ponad sześć i pół godziny w jedną stronę, tyle samo z powrotem, osiem godzin pracy, a kiedy miałem spać? Nie miało to sensu. Prosiłem o transport, ale oni tylko wzruszali ramionami, że to nie ich sprawa. W końcu przestałem przychodzić do pracy.



Nie mogło to pozostać niezauważone?

Od razu zaznaczałem: ja nie odmawiam pracy. Po prostu nie mam fizycznej możliwości dotarcia do miejsca pracy. Oni wszystko nagrywali na kamerę. Zrobili to trzy razy. Za pierwszym razem sporządzili protokół „naruszenia”. Za co? Za odmowę pracy. Ja mówię: „Nie odmawiam, tylko pytam, jak mam się tam dostać”. Oni formalnie uznali to za odmowę pracy. I wysłali mnie do izolatki. Siedziałem tam 15 dni. Już wszystko zrozumiałem. Wiedziałem, że czeka mnie kolonia karna. Zacząłem się do niej psychicznie przygotowywać. Potem dostałem kolejne 15 dni. A potem znaleźli coś jeszcze. Każdy miał swoją szafkę, na której wisiała żółta plakietka. Jeśli ją otworzyć, od wewnętrznej strony był rysunek mojego syna. On go narysował i mi przysłał. Oni są świetnymi psychologami. Naprawdę. Oficerowie doskonale wiedzą, gdzie uderzyć. Pamiętam twarz tego milicjanta, gdy to zobaczył. Otwiera szafkę. Widzi dziecięcy rysunek. I na jego twarzy pojawia się ten sadystyczny uśmiech. Powoli, z satysfakcją, zaczyna się uśmiechać i kręcić długopisem koncentryczne kręgi na tym rysunku, jakby celownik. Zrozumiał, że znalazł mój słaby punkt. Moje dzieci. I wypisał mi naruszenie... za dziecięcy rysunek. Wytrzymałem to wtedy, ale jeśli kiedyś spotkam go jeszcze, kiedy to wszystko się skończy, uderzę go w twarz.

Czyli celowo zrobili całą serię naruszeń, by skończyło się to odesłaniem z obozu pracy do więzienia?

Z izolatki przewieźli mnie prosto do sądu. Sędzia, kobieta, około pięćdziesięciu lat. Przeczytała materiały sprawy i doszła do wniosku, że należy poprzeć administrację obozu pracy, ponieważ, jak uznała, odmawiałem pracy. Zapadło postanowienie o zamianie kary: zamiast „chemii” – kolonia karna. Po tym przewieziono mnie do aresztu śledczego w Brześciu. Potem do Homla. A następnie etapem do kolonii w Szklowie, tej samej, w której zabito Witolda Aszuraka. Byłem później nawet w tym samym karcerze, w którym go zakatowali.

Jak było w kolonii karnej w Szklowie?

Początkowo trafia się tam na tak zwaną kwarantannę. Jeszcze nie jesteś przydzielony do oddziału. I tam, od razu, dostałem trzy naruszenia. Za jakies kompletne bzdury. Decyzja zapadła od razu: idziesz do karceru (SZIZO). Mi do końca wyroku, liczonego łącznie z obozem pracy, pozostały trzy miesiące. No to prawie połowę spędziłem w izolatce, karcerze. Drugą połowę na oddziale. Była też praca – szycie butów dla wojska i milicji. Tam

© Wiktar Parchimczyk



był taki brygadzysta. Chłopak skazany za narkotyki, typowy przedstawiciel tzw. złotej młodzieży. Na Białorusi za narkotyki są bardzo surowe wyroki i potem w koloniach karnych takich ludzi władze zmuszają do współpracy jakimiś obietnicami. Często są funkcyjnymi. Ten na szczęście był normalny i inteligentny. Powiedziałem mu, że nie chcę szyc butów dla milicji, że jestem polityczny i to wbrew mojemu sumieniu. Zgodził się. Od tego momentu siedziałem gdzieś na boku i czytałem sobie książki. Kiedy kończył mi się wyrok, jeszcze raz zamknęli mnie w izolatce. Robią to specjalnie, żeby wychodzący na wolność nie mógł przekazać informacji od innych więźniów na zewnątrz. Żeby zapomniał, nie miał kontaktu. Miałem dwie żółte plakietki, symbol więźnia politycznego. Obie wyniosłem na zewnątrz. Jedną wszyłem w kołnierz. Drugą schowałem w tubce po paście do zębów.

Tego nie wolno było zabrać ze sobą?

No nie, ale już z więziennym drelichem było inaczej. Wyszedłem na wolność w więziennym, „zekowskim” uniformie. Chcieli, żebym przebrał się w cywilne ubrania, ale odmówiłem. Wyglądałem strasznie. Naprawdę strasznie wyglądałem w momencie wyjścia. I właśnie dlatego chciałem wyjść w tym uniformie. Oni przecież chcą to wszystko robić po cichu. Chcą zabijać ludzi cicho, bez śladów, bez świadków. A tu nagle wychodzę na wolność i zaczynają mnie fotografować. Mówią: „Przebieraj się”. A ja odpowiadam: „Nie będę. To wy mnie do tego doprowadziliście. To wy mnie tak ubraliście. To na co teraz narzekacie?”. Nalegali. Postraszyłem ich, że wyjdę nago w takim wypadku. Zaczęli się drapać po głowie, co z nim zrobić. Pobić? No dobrze, ale wtedy wyjdzie pobity. Też będą pytania. W końcu machnęli ręką: „Dobra, wynoś się!”. I tak wyszedłem w więziennym ubraniu. Dziś ten uniform znajduje się w Londynie, w muzeum. Leży obok ubrań innych dysydentów, jeszcze z czasów stalinowskich.

Zaraz po wyjściu zdecydowałeś się wyjechać?

Tak. Moja żona zajęła się wtedy wizą, napisała do polskiego konsulatu. To jeszcze działało, było to przed skandalami wizowymi. Wyjechałem do Polski razem z żoną. Później, już w Polsce, rozwiedliśmy się. Pewne traumy i wspomnienia, obciążenia związane z moim więzieniem okazały się nie do przeskoczenia. Wywołały zbyt wielkie rozdźwięki i wzajemne

oskarżenia między nami. Dzieci są w Polsce. Uczą się tu i raczej już nie wrócą na Białoruś.

Chciałbyś wrócić, gdyby pojawiła się taka możliwość?

Tak. Muszę też powiedzieć szczerze: nie podoba mi się teraz Polska. Nie podoba mi się polski szowinizm. Nie czuję się tu komfortowo. Byłem w wielu krajach, ale w tym akurat nie potrafię żyć. Ciągłe ktoś mnie „odsyła” na Ukrainę. Nas, Białorusinów, biorą za Ukraińców, wobec których narasta straszny szowinizm. Proszę mi wybaczyć, ale jestem szczery, mówię, co mi się nie podoba. Za wiele przeżyłem, by bać się mówić.

Rozmowę przeprowadził Michał Kacewicz.